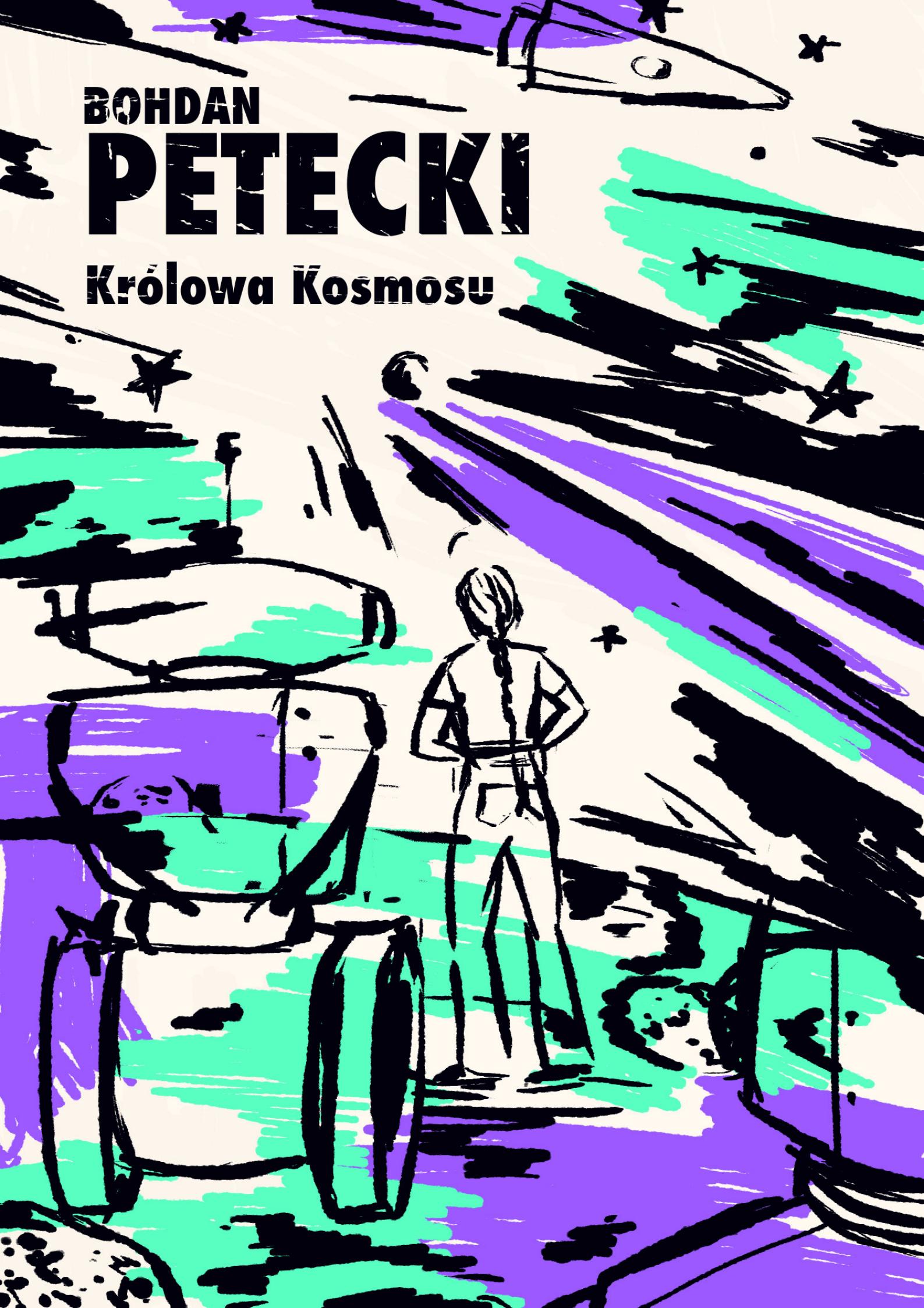


BOHDAN

PETECKI

Królowa Kosmosu



Bohdan Petecki

KRÓLOWA KOSMOSU

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-85-0

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Nasza Księgarnia, Warszawa 1979

seria „Klub Siedmiu Przygód”

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

SPIS RZECZY

Tam gdzie purchawki grają i malują

Gwiezdni rozbitkowie

Śpiący królewicz

Potwór!!! Potwór!!!

Spisek

Bajki

Złoty warkocz

Sezamie, otwórz się!

Królowa Kosmosu

Tam gdzie purchawki grają i malują

– Popatrzcie za siebie. Prawda, że nasza stacja wygląda dzisiaj jak pałac z bajki? – rzekł z nie ukrywaną dumą doktor Michał Olcha.

Od tych słów, wypowiedzianych na pokładzie małego, latającego pojazdu zwanego „ślimaczkiem”, zaczyna się nasza opowieść o katastrofie pionierskiej stacji badawczej na kometcie K-1 i o niezwykłym ocaleniu jej mieszkańców. O człowieku zagubionym w lodowych czeluściach wszechświata i kosmicznych przemytnikach, o tajemniczych praktykach uczonych w zwariowanej bazie na Neptunie i zbyt zachłannym kolekcjonerze, o zbyt upartym pilocie i... Królowej Śniegu (tej z bardzo starej bajki). O ślicznych niebieskich oczach zmieniających się jak niebo nad prawdziwą Ziemią i wspaniałych warkoczach, jakimi nie mogła poszczycić się żadna z komet, a także o...

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Trzy głowy odwróciły się posłusznie.

– Wu-wu-wu – stwierdził Radek, starszy syn doktora Michała Olchy.

Radek miał czternaście lat i osiem miesięcy, jasną czuprynę, szare oczy, gromadkę piegów wokół nosa oraz zwyczaj informowania świata o stanie swoich uczuć przy pomocy dwójakiego rodzaju odgłosów: wszystko, co ładne, ciekawe i przyjemne, kwitował dźwięcznym „wu-wu-wu”, a to, co budziło jego niezadowolenie – syczącym „fu-fu-fu”.

– Wu-wu-wu! – powtórzył teraz.

– Oooo! – zawtórował mu z entuzjazmem jego dziewięcioletni brat Bartosz, zwany przez rodzinę po prostu Basiem. Przy tym okrzyku twarz Basia, z natury okrągła, upodobniła się do księżycy w pełni.

Nik Zadra też skinął głową.

– Owszem, owszem... – mruknął łaskawie.

Swoje niezbyt bujne rude włosy Nik czesał gładko do tyłu, jakby specjalnie po to, by świat mógł bez przeszkód podziwiać jego wysokie czoło. Poza tym był zawsze sztywno wyprostowany, poważny, nieczuły na tak pospolite atrakcje, jak, powiedzmy, orbitalne wesołe miasteczka czy wyścigi meteorów, i nieznosnie pewny siebie.

Radek posłał posiadaczowi „myślącego” czoła kose spojrzenie, ale nic nie powiedział, tylko z powrotem powędrował wzrokiem w stronę miejsca wskazanego przez ojca.

Niczym jasna, okrągła czapeczka – nasadzona na kolistą linię horyzontu – widniała tam kopuła stacji badawczej K-1. Zazwyczaj niepozorna, jakby skulona od kosmicznego mrozu, teraz przedstawiała widok niezwykle i malowniczy. Na tle czarnogranatowego wygwieżdzonego nieba jaśniał bowiem nad nią olbrzymi, przestrzenny obraz. Przecinały się w nim różnej wielkości koła i elipsy, po których krążyły kolorowe bryły. Każdy człowiek obyty z kosmosem, tak jak pasażerowie ślimaczka, na pierwszy rzut oka rozpoznawał w tym obrazie artystyczne wyobrażenie ojczyzno-układu planetarnego.

– Tę dekorację przygotowaliśmy już przedwczoraj – wyjaśnił doktor Olcha. – Mozoliliśmy się cały dzień, żeby jak najpiękniej zaprogramować, a potem umieścić wokół stacji specjalne laserowe projektory. Chcieliśmy godnie przywitać Dni Starej Ziemi. Kto mógł przypuszczać, że akurat w święta dadzą o sobie znać te przeklęte purchawki i, zamiast się bawić, będziemy na gwałt budować nowy posterunek obserwacyjny?! Patt postanowiła nawet upiec tort:

– Tort? – ożywił się Baś. – I co? Nie zdążyła! – jęknął.

– Owszem, zdążyła – uspokoił go ojciec uśmiechając się melancholijnie. – Wy także zdążyliście wylądować – dodał z westchnieniem.

– Całe szczęście! – wyrwało się Radkowi.

Nik skrzywił się tylko z wyższością i wycedził:

– Ja i tak byłbym teraz tutaj. Mój ojciec może lądować wszędzie, gdzie zechce. Ma specjalne pozwolenie. A poza tym przybyliśmy własną rakietą – dodał od niechcenia.

Ciche Radkowe „fu-fu-fu” zagłuszył piskliwy okrzyk Basia:

– „Własną rakietą! Własną rakietą!” Samochwała! Purchawka!

– Bartoszu! – zawołał z wyrzutem ojciec.

– On myślał o tutejszych, kosmicznych purchawkach – powiedział prędko starszy brat Bartosza, nazywanego pełnym imieniem tylko w skrajnie kryzysowych sytuacjach. – Zawsze bardzo chcieliśmy poznać twojego ojca – ciągnął – i cieszymy się... cieszymy się, że jesteście z nami – zakończył zwycięsko.

Częściowo była to prawda. Radek znał i lubił książki Olega Zadry, słynnego astrografa i podróżnika, podziwiał jego filmy kręcone w najdziwniejszych zakątkach Układu Słonecznego. Toteż aż podskoczył z radości, kiedy wczoraj, wkrótce po ich przybyciu na kometę, dyżurująca w dyspozytorni Patt Hardy zawiadomiła szefa stacji K-1, profesora Stanka Yaica, że stateczek Zadrów podchodzi do lądowania.

– Masz, babo, placek! – jęknął wtedy profesor.

Radek darzył profesora, który był znakomitym uczonym, jednym z twórców superszybkich rakiet, ogromnym szacunkiem. Ten szacunek zwiększył się jeszcze, kiedy ujrzał Yaica na własne oczy. Sprawiała to piękna siwizna profesora, jego poważna, surowa twarz, a nade wszystko – niesłychanie krzaczaste brwi, które szef stacji potrafił unosić tak, że zakrywały mu połowę wysokiego czoła. Mimo to wzmianka o placku, a zwłaszcza o babie, wydała się chłopcu nader mało wytworna, i to nie tylko przez wzgląd na osobę Olega Zadry. Po prostu Patt była młodziutką brunetką o śniadej cerze, ogromnych zielonych oczach i ślicznej figurze. Na wszelki wypadek Radek udał, że niczego nie usłyszał, a w chwilę później rzeczywiście zapomniał i o dyplomatycznych antytalentach wielkich uczonych, i o urodzie ich niektórych współpracowniczek.

W otwartych drzwiach służby ukazały się dwie wysokie sylwetki. Słynny podróżnik – lekko szpakowaty szatyn, o twarzy opalonej na ciemny brąz i jasnych szarych oczach – śmiał się już z daleka, natomiast kroczący obok jego piętnastoletni syn, który od niedawna towarzyszył ojcu w krótszych wyprawach, zachowywał kamienny wyraz twarzy. Nik miał bladą, by nie rzec: wyblakłą, cerę i starał się sprawiać wrażenie człowieka zawsze pogrążonego w najgłębszych dociekaniach.

– I cóż ja z wami zrobię! – załamał ręce szef stacji K-1. – Akurat dziś rano odkryliśmy coś, co może się okazać największą rewelacją w historii podboju kosmosu! Mamy pełne ręce roboty.

– Rewelacje to nasza specjalność – oznajmił chłodno Nik.

Te słowa, a zwłaszcza ton, jakim zostały wypowiedziane, sprawiły, że Radek, który już zamierzał wyrazić swoją radość z poznania tak znakomitych osób, cofnął się od razu.

Późniejsze zachowanie syna słynnego Olega Zadry potwierdziło tylko to pierwsze, niesympatyczne wrażenie. Nic dziwnego, że teraz Radkowi trudno było całkowicie szczerze potępić Basia, któremu wyrwał się ów fatalny okrzyk: „Samochwała! Purchawka!”

Przez dłuższą chwilę w ciasnej kabinie ślimaczka panowało milczenie. Przerwał je ponownie Baś, którego wiadomość o przygotowanym przez Patt torcie wprawiła w tak wyśmienity humor, że gładko przełknął nawet surowe ojcowskie: „Bartoszu!” Chłonąc rozanielonym wzrokiem świąteczną dekorację stacji K-1, powiedział z rozmarzeniem:

– Wiecie, to wygląda jak bardzo wielka porcja lodów à la Saturn...

Michał Olcha zaśmiał się krótko.

– Całe szczęście, że nie ma tutaj autorów naszej dekoracji, którzy włożyli w swoje dzieło tyle twórczego zapалу! Nazwać artystyczną wizję Układu Słonecznego wielką porcją lodów... Nie, litości! – wznosił ręce z komicznym ubolewaniem.

– Dlaczego? – zdziwił się szczerze Baś. – Lody à la Saturn są bardzo piękne – podkreślił z głębokim przekonaniem.

Ślimaczek, przechylając się nieznacznie, zatoczył łagodny łuk, co odwróciło uwagę jego pasażerów od kolorowego obrazu. Spojrzeli znowu przed siebie.

Ominęli właśnie łagodne wzniesienie i ponownie znaleźli się nad równiną. Jej powierzchnia odbijała lśnienie gwiazd i przypominała trochę olbrzymie lodowisko. Ale tafla tego lodowiska była nierówna, miejscami wypiętrzała się w nieregularne garby i nie miała nic wspólnego z pocziwą, zamrożoną wodą. Niebo – pełne miliardów maleńkich, złotych iskier – otulało ów niegościnnie ląd jakby zbyt obszernym pokrowcem uszytym z czarnogranatowego aksamitu.

Wypada wreszcie opowiedzieć spokojnie i po kolei o czasie, miejscu, a także okolicznościach, w jakich znajdowali się Radek i Baś oraz ich ojciec, astrofizyk doktor Michał Olcha, i szalenie poważny Nik Zadra.

Czas:

Minęło dokładnie trzysta lat od założenia na Marsie pierwszej ziemskiej osady i dziesięć lat od zakończenia Operacji P, czyli programu zasiedlenia Układu Słonecznego. Na pamiątkę dnia, w którym człowiek pierwszy raz zamieszkał poza swoim macierzystym globem, obchodzono co roku Święta Starej Ziemi, zwane także „Błękitnymi Igrzyskami”. Właśnie wczoraj rozpoczęły się uroczystości rocznicowe we wszystkich ośmiuset trzydziestu wielkich kosmicznych miastach, osiedlach oraz małych bazach orbitalnych w całym Układzie Słonecznym. Także i załoga stacji K-1 miała zamiar godnie uczcić Błękitne Igrzyska, przygotowała już nawet wspaniałą dekorację, jednak, jak wiemy, na skutek pewnych nieprzewidzianych wypadków uczeni i piloci – zamiast świętować – musieli bez zwłoki przystąpić do nowej pracy.

Miejsce:

„K-1” – była to nazwa nie tylko stacji badawczej, lecz także komety, na której tę stację zbudowano.

Każdemu, kto kiedykolwiek oglądał z Ziemi płonący na niebie ogień z imponującym złotym warkoczem lub chociażby tylko fotografię komety, mogłoby się zdawać, że Radek lecąc teraz tuż nad powierzchnią K-1 powinien tonąć w oślepiającym blasku bijącym od owego warkocza, a nie spoglądać na mroczną, lodowatą pustynię. W rzeczywistości jednak sprawa z kometami ma się trochę inaczej. Są ich miliardy miliardów, a tylko bardzo rzadko któraś z nich ukazuje się ludzkim oczom jako ogoniasta gwiazda. Obiegają one Słońce, podobnie jak Ziemia, ale nie w czasie jednego roku, tylko w ciągu tysięcy, nawet setek tysięcy lat. Najczęściej przebywają więc daleko w kosmosie, gdzie poruszając się w żółtym tempie, przybierają postać skurczonych, lodowych globików. Dopiero kiedy docierają w okolice wielkich planet, nabierają nieco życia. Pod wpływem bliskości Słońca przyśpieszają, zaczynają się powoli topić i wtedy to uciekające z nich gazy tworzą owe wspaniałe ogony, które można by porównać do roziskrzonego dymu wyrzucanego przez pędzący, przedpotopowy parowóz.

W chwili gdy na K-1 znaleźli się Radek i Baś, kometa wracała już ku Słońcu po tysiącletnim pobycie w czeluściach kosmosu. Niedługo i ona miała rozwinąć za sobą piękny, ognisty warkocz. Na razie jednak była zamrożoną grudką o średnicy zaledwie dwudziestu ośmiu kilometrów. Na takiej to lodowej okruszynie ludzie zbudowali niespełna rok temu pierwszą w dziejach stację badawczą poza obszarem własnego układu planetarnego.

Okoliczności:

Dziesięć lat temu, o czym już była mowa, zakończono zasiedlanie Układu Słonecznego. A ponieważ człowiek w swojej historii nigdy nie mógł i nie chciał poprzestać na tym, czego już dokonał, więc teraz myśli wszystkich skierowały się z kolei ku gwiązdom.

Aby jednak utorować drogę statkom, które miały ponieść ludzi do innych słońc i Galaktyk, trzeba było jeszcze dokładniej niż dotychczas zbadać warunki panujące w głębinach wszechświata. Powołano więc Instytut Galaktyczny, który następnie uruchomił dwie placówki badawcze: bazę na orbicie Neptuna i... małą stację K-1. Uczni doszli bowiem do wniosku, że kometa – wędrująca z dala od układu planetarnego – świetnie się nadaje, aby z niej właśnie prowadzić obserwacje i studia konieczne do przygotowania przyszłych wypraw. Doktor Michał Olcha, wraz z czworgiem innych pracowników Instytutu Galaktycznego, znalazł się więc tam wtedy, kiedy K-1 była jeszcze bardzo oddalona od Słońca i kiedy w związku z tym grupka budowniczych, a potem mieszkańców stacji mogła prowadzić swoje badania w warunkach prawdziwej międzygwiazdnej pustki. Praca ich przyniosła wiele bardzo ciekawych wyników, a przebiegała na ogół spokojnie. Gdy K-1, stale przybliżając się do Słońca, przekroczyła granicę układu planetarnego, w bazie na orbicie Neptuna zaczęto przygotowywać do startu dwa potężne bezzałogowe statki. Miały zawieźć uczonym niesłychanie dla nich ważny, dodatkowy sprzęt – bez którego nie mogli ukończyć pewnych badań – i powrócić już z całą załogą stacji, która nie mogła przecież czekać, aż kometa, po przekroczeniu rejonu wielkich planet, zacznie się topić.

Wtedy to, po dramatycznych radiowych rozmowach, doktor Michał Olcha zgodził się, aby tymi statkami przyjechali na kilkudniową wycieczkę Radek i Baś. Zaczęły się świąteczne ferie, podróż wielkimi rakietami bazy zapewniała całkowite bezpieczeństwo, a dla doktora Olchy była to ostatnia okazja pokazania synom stacji, na której spędził tyle czasu. Poza tym... no cóż, astrofizyk po prostu bardzo stęsknił się już za swoimi pociechami.

Radek i Baś wylądowali wczoraj. Drugim statkiem – prowadzonym zdalnie z pierwszego – miała przybyć córka kolegi doktora Olchy, Piotra Jardin, ale statek ten spóźnił się, bo napotkał po drodze potok meteorów, który trzeba było ominąć. Za to zupełnie niespodziewanie, zaraz po Radku i Basiu, zameldowali się na komecie Zadowie. I jedni, i drudzy przybyli, jak już wiemy, nie w porę. Tego dnia rano zaszło bowiem coś, co postawiło uczonych w stan ostrego alarmu.

Na K-1 było jedno miejsce szczególne. W otoczeniu niskich, łagodnych wzniesień otwierał się nagle równy jak stół plac, pośrodku którego leżała przyzma dziwnych kamyczków, jakby pozostałość po bardzo starej, wykruszonej piramidzie. Kamyczki te przypominały do złudzenia dorodne, ziemskie purchawki, tyle że były twarde i, oczywiście, zimne jak lód. Uczni zbadali je przeszło pół roku temu i wtedy nie znaleźli w nich nic godnego uwagi. Poza osobliwością kształtów – „purchawki” nie różniły się pod żadnym innym względem od pierwszego lepszego kawałka zmarzniętego gruntu wyrąbanego w dowolnym punkcie komety: Dopiero kiedy K-1 przekroczyła granicę Układu Słonecznego i zaczęła przyspieszać, czemu towarzyszył nieznaczny wzrost temperatury...

Dyżur w dyspozytorni pełnił wtedy profesor Sean O'Claha. Ku swojemu zdumieniu, a potem przerażeniu zauważył, że na ekranie przenoszącym monotony obraz szarawego ładu przylatującego czerni nieba ukazują się ni stąd, ni zowąd jakieś przedziwne kolorowe esy-floresy, że cała kabina, w której przebywał, jest już jedną przestrzenną areną pełną płonących wszystkimi barwami kropek, tasiemek, figur geometrycznych i cudacznych postaci miotanych czarodziejskim tańcem. A zaraz potem usłyszał muzykę. Brzmiała potężnie i groźnie.

Profesor O'Claha, znakomity matematyk, słynął z tego, że zawsze mówi bardzo dużo, bardzo szybko i bardzo głośno. Ale tym razem przeszedł samego siebie. Trudno się więc dziwić, że przebudzony jego wołaniem szef K-1, poważny Stanko Yaic, zaczął biegać na oślep po korytarzu i krzyczeć: – Zderzenie! Zderzenie! – a Patt, która niedawno skończyła

dyżur i właśnie posilała się porcją syntetycznego indyka, połknęła od razu wielkie udko wraz z całą długą kością. Na szczęście syntetyczne kości trawi się równie łatwo, jak mięso, bo inaczej biedna Patt ani chybi powędrowałaby prosto do sali operacyjnej.

Kiedy w końcu wszyscy zebrali się w dyspozytorni, profesor O,Claha wyrzucił z siebie coś, co brzmiało mniej więcej następująco:

– Toskaczeiryczytojakieśdzikusyzinnegoświata!!!

Już po pierwszych pomiarach i badaniach okazało się, że obrazy i dźwięk wypełniające kabinę pochodzą z owego placyku zasłanego białawymi grudkami.

Wtedy O,Claha stwierdził:

– Totepurchawkimalująiśpiewajamniesiętoniepodoba!!!

– A mnie się podoba – odpowiedział cicho Piotr Jardin, chłonąc wzrokiem tańczące w takt kosmicznej muzyki kolorowe zjawy. – Nareszcie coś naprawdę nowego.

To „nowe” mogło się jednak okazać groźne. Nie ulegało wątpliwości, że wbrew poprzednim orzeczeniom, „lodowe kamienie”, jak je nazywali uczeni, lub – jeśli ktoś woli – „purchawki” różnią się w sposób bardzo istotny od otaczających je martwych lodów komety. Co zrobią za godzinę, za dzień, dwa, kiedy K-1 znajdzie się jeszcze bliżej Słońca, kiedy temperatura jej powierzchni wzrośnie jeszcze o kilka kresków?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć. Nie sposób było jednak wykluczyć, że kamyczki, które potrafią grać i malować, mogą się popisać także innymi sztuczkami. Czy nie zaczną na przykład wysyłać zabójczego promieniowania? Czy nie spowodują eksplozji, po której z K-1 zostaną tylko – krążące w wiecznej nocy wszechświata – mikroskopijne strzępki?

– Może jednak zawrócić dzieci? – powiedział z wahaniem profesor Yaic.

– Dzieci są na pokładzie statków, które wiozą nam sprzęt. Bez tego sprzętu nie zdążylibyśmy już, przeprowadzić niezbędnych, dodatkowych badań. I dlaczego zaraz przewidywać najgorsze – odparł ojciec Radka i Basia. – W razie czego na pewno zdążymy opuścić kometa.

Przez chwilę w dyspozytorni rozbrzmiewała tylko tajemnicza muzyka.

– Wiem, co zrobimy – powiedział nagle Piotr Jardin. – Musimy mieć na oku te muzykalne bryłki, i to do ostatniej chwili. Zbudujemy obok nich posterunek obserwacyjny. Kto wie, może nie my jedni wybraliśmy akurat tę kometkę, żeby z niej prowadzić badania...

Nikt nie odpowiedział. Przypuszczenie, że lodowe kamyczki mogą być jakimiś żywymi lub martwymi instrumentami pozostawionymi tutaj przez inną cywilizację kosmiczną, brzmiało wprawdzie zupełnie fantastycznie, ale ostatecznie to, co te purchawki robiły w tej chwili, także zakrawało na obłąd, a jednak działa się naprawdę. Poza tym... w kosmosie trzeba być przygotowanym na wszystko. A żadnych lodowych kamieni nie mogło być na K-1, kiedy ta tysiąc lat temu opuszczała Układ Słoneczny. Stanowiła przecież wtedy tylko rozżarzoną chmurę, pozbawioną stałej skorupy, a więc nic, absolutnie nic, poza pierwotnym materiałem, z którego kiedyś powstała, nie mogło na niej przetrwać.

– Mamy jeszcze trochę czasu – bąknął po chwili Jardin. – Zobaczymy. Może nic się nie stanie. A może akurat teraz, pod sam koniec naszych prac, odkryjemy WIELKĄ TAJEMNICĘ? Posłuchajcie mnie. Zbudujemy mały, jednoosobowy posterunek obserwacyjny niedaleko tej purchawkowej piramidki...

– Wiem nawet, kto będzie obserwatorem – przerwał ponuro profesor Yaic, patrząc spod swoich krzaczastych brwi na mówiącego.

Piotr Jardin uśmiechnął się. Jego zęby błysnęły olśniewającą bielą w śniadej, aż zaskakująco młodej twarzy.

– Oczywiście, że ja – przytaknął, prostując się, co zajęło mu trochę czasu, ponieważ mierzył dobre dwa metry wzrostu. – Po pierwsze, pomysł jest mój, a po drugie, jako egzobiolog mam największe kwalifikacje.

– Tam przydałbysię raczej grajek imalarz! – wtrącił po swojemu O, Claha.

Po krótkiej, choć burzliwej naradzie postanowiono jednak przyjąć projekt Piotra Jardin. Właśnie dzisiaj, wcześniej rano, ekipa robocza wyposażona w komplet automatów wyruszyła do pracy. Wraz z naukowcami na budowę podstacji obserwacyjnej udał się także Oleg Zadra. Nik, jak było do przewidzenia, koniecznie chciał lecieć z ojcem.

– Tym razem nie – rzekł krótko słynny astrograf.

– Przecież zawsze jesteśmy tam, gdzie dzieje się coś ciekawego – argumentował Nik. – Ja także chcę kiedyś pisać o kosmosie, robić reportaże i filmy, a poza tym... – zawahał się przez moment – poza tym wiesz przecież, że zbieram różne pamiątki. Taki lodowy kamyk byłby dla mnie... No, tato!

– Nie.

– I tak żaden z tych kamyczków nie mógłby wzbogacić twojej kolekcji – tłumaczył łagodnie Yaic. – Nie znamy jeszcze przecież ich właściwości. Nie wiadomo nawet, czy dowiozłbyś go na Ziemię, a gdyby ci się to udało – czy taka jedna mała bryłka nie zagroziłaby całej ludzkości. Jako zbieracz powinienś już wiedzieć, że każdy drobiazg pochodzący z kosmosu musi być poddany niezwykle dokładnym badaniom, zanim otrzyma przepustkę do planetarnych laboratoriów czy muzeów. Może na przykład zawierać nie znane naszej nauce bakterie, które zaatakują ludzi.

Kolekcjoner i przyszły podróżnik ostentacyjnie odwrócił się plecami do szefa stacji.

– Tato? – wykrztusił błagalnie.

– Nie – powtórzył krótko i stanowczo Oleg Zadra.

Wtedy do akcji wkroczył doktor Olcha.

– Ja nie jadę razem z wami, bo muszę jeszcze wykonać tutaj pewne prace – powiedział do astrografa. – Kiedy skończę, chciałbym zabrać ze sobą Radka i Basia, żeby zobaczyli kawałek naszej pięknej K-1. Niech twój syn pojedzie z nami. Weźmiemy ślimaczka, to bardzo bezpieczny pojazd. Potem ja wysiądę koło nowego posterunku, a komputer pokieruje ślimaczkiem w powrotnej drodze. Dzieci wrócą z pewnością całe i zdrowe.

Właśnie dzięki tej pojednawczej interwencji Michała Olchy lecieli teraz nad powierzchnią komety razem: astrofizyk, jego dwaj synowie oraz blady i nieco obrażony Zadra-junior.

Ślimaczek zwolnił.

– Widać już te kamienie – powiedział doktor Olcha.

Chłopcy wytrzeszczyli oczy.

– To one są takie małe? – bąknął niepewnie Radek.

Ojciec zaśmiał się.

– Nasze grające bryłki przypominają trochę małe porcyjki lodów – mrugnął na Basia – chociaż, oczywiście, nie à la Saturn, tylko à la K-1. Małe, lecz lichy wie, do czego zdolne...

– To nie są lody – stwierdził z niesmakiem Baś.

– Czy te aktywne kamienie – spytał Nik – cały czas emitują sygnały?

– Popatrzcie i posłuchajcie sami – powiedział doktor Olcha i przesunął małą rączkę w pulpicie sterowniczym.

Ślimaczek stanął, a raczej zawisł nieruchomo jakieś dziesięć metrów nad powierzchnią gruntu.

W oddali widać było jak na dłoni małą, kolistą równinę otoczoną łagodnymi kopczykami. W środkowej części placu wznosiła się sęta lodowych kamieni, a na jego skraju trwała gorączkowa krzątanina automatów budujących posterunek obserwacyjny. Wyglądał on jak miniaturowa macierzysta stacja. Miał półkolistą kopułę, z której sterczały krótkie pręciki anten. Drzwi prowadzące do małego przedsionka, w którym mieściła się

komora śluzy, były jeszcze otwarte. Stały tam dwie sylwetki odcinające się bielą skafandrów od szarzyzny krajobrazu i czarnogranatowego nieba.

Doktor Olcha wcisnął jeden z guziczków w pulpicie łączności. Wewnątrz ślimaczka pociemniało. Pojazd przestał być przeźroczysty. Nagle na jego pasażerów runęła lawina niesamowitych, przejmujących dźwięków. Muzyka, dzika i chaotyczna, była zarazem tak przejmująca i obca, że słuchających przeniknął zimny dreszcz.

– Oj! – krzyknął Baś, odruchowo zatykając sobie palcami uszy.

– Ach! – zawtórował bratu Radek.

– No, tak... – wyszeptał Nik. Jego blada twarz stała się, jeśli to możliwe, jeszcze bledsza, ale potrafił utrzymać na niej wyraz dostojnej powagi.

Ściany ślimaczka zbiegły się raptem, jakby chciały zdusić siedzących w środku ludzi, a w następnej chwili zniknęły jak zdmuchnięte. Radek poczuł, że otacza go niezmierzona przestrzeń i że ta przestrzeń zaczyna atakować jego wzrok olbrzymimi trójwymiarowymi obrazami. Zobaczył wielkie wirujące koła, jakby utworzone z błękitnych płomieni, wokół których tańczyły złote gwiazdy, wiły się kolorowe serpentyny, na przemian gasły i zapalały się fioletowe, różowe i srebrne tarcze, a wszystko to przestrzeliwały cienkie niczym struny świetliste linie. Na moment zamknął oczy.

Kiedy otworzył je ponownie, dostrzegł dłoń ojca, cofającą się od pulpitu. W kabinie panowała cisza. Ściany wróciły na swoje miejsce, po ruchomych obrazach nie pozostało śladu.

– Co... co to było?... – zdołał wybełkotać.

– To kosmos opowiada i pokazuje nam swoje bajki – odpowiedział poważnie doktor Olcha.

Dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Nagle Nik pochylił się do przodu i wpatrzył zachłannie w białawe bryłki tworzące ów dziwny stos na środku placyku wśród lodowych wzgórz.

Radek, który siedział tuż obok niego, dosłyszał zduszony szept:

– Muszę mieć taką purchawkę – dłoń Nika spoczywająca na oparciu fotela zacisnęła się w pięść. – Muszę...

– Co mówisz? – zainteresował się astrofizyk.

Przyszły podróżnik spostrzegł, że wszyscy na niego patrzą, i usiłował zrobić zdziwioną minę.

– Ja?

– Widać mi się zdawało – rzekł doktor Olcha, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Chociaż przysiągłbym, że wspomniałeś coś o purchawce.

Radek już otwierał usta, chcąc dyplomatycznie dać do zrozumienia, że ma bardzo dobry słuch, ale Nik nie dał mu dojść do słowa.

– Proszę pana – spojrzał przymilnie na uczonego – dlaczego słyszy się i widzi to, co nadają te kamienie, tylko przy specjalnie ustawionych antenach?

– Obrazy i muzyka naszych bryłek są przenoszone wyłącznie w pewnym określonym paśmie częstotliwości – wyjaśnił zapytany i dodał: – Na szczęście. Inaczej nikt z nas nie mógłby opuścić stacji, bo w ogóle nie moglibyśmy porozumiewać się ze sobą.

– Panie doktorze – ton Nika stał się obrzydliwie słodki – bardzo bym chciał jeszcze przez chwilę popatrzeć i posłuchać. Tylko chwileczkę.

– Nie! Nie! – zaprotestował ostro Baś.

Astrofizyk spojrzał przepraszająco na młodszego syna, zerknął na zegarek, westchnął i wreszcie – bez przekonania – ponownie sięgnął do pulpitu.

– Ale naprawdę tylko chwilę – zastrzegł się. – Powinienem być już na dole, a w dodatku ktoś tutaj, jak się okazuje, nie lubi bajek.

– Lubię, ale nie takie – sprostował Baś, by następnie zawczasu demonstracyjnie zatkać sobie uszy.

Radek miał wielką ochotę pójść w jego ślady, ale wstydził się Nika.

Znowu zabrzmiała niesamowita muzyka, znowu wokół pasażerów ślimaczka zaczęły tańczyć ogniste, kolorowe obrazy. Michał Olcha odczekał kilkanaście sekund i właśnie zamierzał z powrotem przestawić odbiornik, kiedy w potężne akordy nie znanych Ziemianom instrumentów wmieszał się pojedynczy, dość cienki głosik.

– Tato! Tato! – wołał głosik. – Jestem już tutaj! Słyszysz mnie? Podobno tam zostajesz? Ja muszę do ciebie przyjechać!!!

„Znowu ktoś coś musi – przemknęło przez głowę Radkowi. – Musi, czego nie tylko nie musi, ale i nie powinien, a w ogóle nie może” – doprowadził swoją myśl do końca, z wrażenia nie zwracając uwagi na jej dość swobodną konstrukcję logiczną.

W głośniku rozległy się trzaski, z których po chwili wypłynął względnie czysty, męski baryton:

– Anik? Córeczko, całuję cię bardzo, bardzo mocno! Niestety, teraz nie możemy się zobaczyć. Ale nie martw się. To potrwa zaledwie parę dni. Potem wrócę i razem polecimy z powrotem do bazy. Trzymaj się dzielnie i...

Dalsze słowa mężczyzny utonęły w huraganowym przypływie purchasekowej muzyki. Dopiero po dłuższej chwili doktor Olcha i chłopcy wyłuskali z posępnej kakofonii jakiś inny kobiecy głos, miękki i ciepły.

– Kochanie, pomyliłaś klawisze w centralce łączności – odgadli, że to mówi Patt Hardy. – W ten sposób trudno wam się będzie porozumieć, bo z wszystkich głośników płynie teraz hałas, jaki robią te kamiki.

– Tatusiu! Tatusiu! – cienki głosik nie dawał za wygraną. Było jasne, że osóbką, do której należał, nie ma najmniejszego zamiaru przyjąć do wiadomości faktu istnienia purchasek ze wszystkimi ich obrazkami i melodyjkami. – Tatusiu, tylko na kilka minut!

– To niemożliwe. Anik, bądź dzielna...

– Ja nie chcę czekać, słyszysz?! Tatusiu, słyszysz?!

– Słysz, słysz – wyręczył uczonego Baś, który chwilę temu odjął dłonie od uszu. – Kto by nie słyszał? – dodał zgryźliwie. – Baba potrafi zagłuszyć nawet kosmos.

– One są teraz w bazie same – zatroskał się nagle Nik, spoglądając znacząco na doktora Olchę. – Czy możemy im zaufać?

Astrofizyk przez chwilę milczał, przyglądając się z pewnym zdziwieniem blademu osobnikowi, który tak niespodziewanie objawił się jako współgospodarz kosmicznej stacji. Wreszcie podrapał się w głowę, odchrząknął i powiedział z całą powagą:

– Możemy, Patt jest odpowiedzialnym człowiekiem, wielką nadzieją naszego Instytutu. A córka Piotra na pewno także da sobie radę. No, dość tego.

Wyłączył głośnik, unicestwiając za jednym zamachem bajki kosmosu i głosy ludzi. Włożył próżniowy kask, sprawdził szczelność skafandra, a następnie otworzył drzwi prowadzące do miniaturowej śluzy śliniaczka.

– Jak tylko zamknę za sobą właz, komputer zacznie realizować zapisany w nim program, czyli odwiezie was szybko i bezpiecznie do domu, to znaczy, do stacji – poprawił się. – Bądźcie mili dla Anik – poprosił jeszcze – dziewczyna miała doprawdy paskudnego pecha. Przylecieć po tylu miesiącach i spóźnić się o kilkanaście minut... Cześć, chłopcy! No!

Po tym ostatnim wykrzykniku dał się słyszeć trzask zamykanych pancernych drzwi. Równocześnie na jasnozielonym ekraniku komputera zapłonął napis: *powrót do stacji*.

– Poczekaj chwilę! – zawołał Baś.

Z ekranu natychmiast zniknęły literki tworzące napis, a ich miejsce zajął zgrabny znak zapytania.

– Realizacja programu powrotu: za pięć minut – poprawił brata Radek.

Znak zapytania ulotnił się i ekran zafalował łagodnym światłem, jakby komputer odpowiedział: dobrze.

Nastała cisza. Wszyscy trzej powędrowali wzrokiem w stronę niedalekiego placyku z kupką zagadkowych białawych bryłek i świeżo wzniesioną małą budowlą. Tam właśnie – po opuszczeniu ślimaczka przy pomocy specjalnej, maleńkiej windy – zmierzał doktor Olcha. Minął już ostatnie łagodne wzniesienie i wyszedł na płaski teren. Wtedy stanął, odwrócił się i pomachał w stronę ślimaczka. W tym momencie jego wyprostowana sylwetka w białym skafandrze zasłoniła sobą cały teren budowy. Radek uśmiechnął się bezwiednie. Ojciec był jeszcze wyższy od Piotra Jardin. Chłopcu wydało się, że widzi za wielkim próżniowym kaskiem tak dobrze mu znaną twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych, pogodnych szarych oczach, prostym nosie, ustach, których kąciki znamionowały skłonność do śmiechu, i nieco wysuniętym, ostro ściętym podbródkiem. Radek odruchowo uniósł dłoń i odpowiedział na jego pożegnalny gest. Wtedy ojciec, jakby mógł to zauważyć, odwrócił się znowu i ruszył dalej. W chwili kiedy zatrzymał się przed małą budowlą, zgasły dwa najsilniejsze reflektory oświetlające miejsce pracy automatów i ludzi – podstacja obserwacyjna była gotowa.

Maszyny budowlane uformowały zwarty szyk i popęzły w stronę wzgórz. Na miejscu pozostały jeszcze dwa łaziki czekające na ludzi, którzy żegnali się teraz pewnie wewnątrz budowli z ojcem Anik.

Radek oderwał wzrok od kopułki podstacji i spojrzał prosto przed siebie, tam gdzie wyraźnie zaokrąglony horyzont wyznaczał granicę małej komety. Jak okiem sięgnąć wszędzie niewielkie wzniesienia, zimne wydmy kosmicznej plaży. Porównanie z plażą było idiotyczne. Chłopiec poczuł, że przez plecy przemaszerowały mu zmarznięte na kość mrówki, i wzdrygnął się odruchowo.

W tym momencie zauważył daleko za placikiem dwa maleńkie światełka. Błysnęły między pagórkami i zniknęły, ale po chwili ukazały się znowu, jakby odrobinę bliżej. Przemknęły jeszcze przez trzy czy cztery bruzdy, starannie unikając wierzchołków wzniesień, jakby kryły się przed wzrokiem ludzi znajdujących się w podstacji, po czym – znieruchomiały. Wyglądały zupełnie jak czołowe reflektory łazika. Ale skąd tam miałby się wziąć jeszcze jeden łazik? Nonsens. Przecież Patt i Anik z pewnością nie opuściły stacji, a wszyscy pozostali byli tutaj, wewnątrz posterunku.

Chłopiec wyteżył wzrok. Nie, to nie złudzenie. Tam naprawdę błyszczały dwa reflektorki. Trwają teraz bez ruchu, jakby ktoś, kto sobie nimi przyświecał, postanowił zaczekać, aż Piotr Jardin zostanie sam. Ta myśl przyszła Radkowi zupełnie niespodziewanie. Nie wiedział czemu, ale tajemnicze ogniki tłące tam, gdzie nie mogło, a w każdym razie nie powinno być nikogo – wydały mu się jakieś ponure i złowieszcze.

Uniósł dłoń, żeby szturchnąć Basia i spytać, czy on także zauważył te reflektorki, ale w tym właśnie momencie dalekie światełka zgasły.

Pięć minut minęło. Na ekranie ponownie pojawił się napis: *powrót do stacji*. Tym razem nikt już nie próbował nakłaniać komputera, by ten jeszcze chwilę poczekał.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI